



Mały przegląd

pismo dzieci i młodzieży

wychodzi co piątek rano z korespondencje i material kierować należy do redakcji „małego przeglądu” nowolipki 7

TYGODNIOWY BODATEK BEZPŁATNY DO NR. 244 (8944) NASZEGO PRZEGLĄDU

J. TUKACZYŃSKI

Korespondencja z Mandżukuo

W FU-DZIA-DZIANIE

Już dawno miałem chętkę wybrać się do Fu - dzia - dzian'u, chińskiej dzielnicy Charbina. Jadąc co dzień do szkoły, widzę z mostu pod wiaduktem kolejowym zarysy domów i wzbijające się ku niebu czerwone, ceglaste kominy fabryk — to właśnie Fu - dzia - dzian.

Umówiłem się więc z dwoma kolegami i wraz z bratem postanowiliśmy wyruszyć tam w niedzielę po obiedzie. O oznaczonej godzinie zebraliśmy się wszyscy na rogu ulic Kitajskiej i Konnej. Stąd skierowaliśmy się w stronę wielkiego magazynu Tun - fa - fun'a, przy którym znajduje się przystanek autobusów, jadących do Fu - dzia - dzian.

Obok przystanku zobaczyliśmy tłum Chińczyków w wąskich, długich czarnych sukniach i kapeluszach na głowie. Nie mieliśmy czasu na to, by stać i czekać na autobus i w końcu nie znaleźliśmy w nim miejsca. Zostawiliśmy zatem Chińczyków przy przystanku i doszliśmy do szofera. Boria (jeden z kolegów) potargował się z nim po chińsku, wreszcie po obustronnych krzykach i próbach oddalenia się (szofer udawał, że nie chce wcale z nami mieć do czynienia) oddaliśmy nasze życie w ręce tego Chińczyka - szofera, z czapką przekrzywną tak, że daszek znajdował się z lewej strony. Miał nas zawieźć do teatru ludzianzkiego na Piątą Ulicę.

Granicą między Chabinem a chińską dzielnicą jest żelazny most, pod którym znajduje się jakaś wielka, niewybrukowana jama, zwana szumnie ulicą.

Po wydośnieniu się z tej pełnej tumanów kurzu „doliny”, jechaliśmy wolno ulicami przedmieścia. Ruch tam był olbrzymi i pieszcy i kołowy. Szofer nasz musiał często używać trąbki, by zatrzymać lub rozpuścić Chińczyków, spacerujących najspokojniej po jezdni. Trzeba wiedzieć, że nie ma tu kar za nieprawidłowe przejście przez jezdnię.

Z przedmieścia skręciliśmy w prawo i znaleźliśmy się na ulicy, która swym ruchem dorównuje na pewno Marszałkowskiej, a może nawet ją przewyższa. Piękne sklepy z olbrzymimi wystawami i mnóstwem towarów.

Przybyliśmy wreszcie do teatru na Piątą Ulicę. Olbrzymie drzwi wejściowe zawieszono czarną płachtą. Przypomniało mi to wejście do cyrków wędrownych.

Znaleźliśmy się w korytarzu, w którym znajdowała się kasa. Korytarz ten stanowił jednocześnie część widowni.

Nie spodobał mi się ten mały teatrzyk zapchany ludźmi, poszliśmy do wielkiego teatru na Szesnastej Ulicy. Drogi nie

znaliśmy, więc kręciliśmy się wśród małych uliczek, między sklepami blachy i żelaza, pałarniami opium, w końcu zaśliśmy do teatru z tylnej strony.

Scena była zupełnie otwarta z wszystkich stron i nie posiadała żadnej kurtyny. Wrzywała się ona głębokim półkolem w widownię. Dokoła sceny stał rząd krzeseł, za nim drugi, trzeci i t. d. Między poszczególnymi rzędami stały stoły. Wśród stołów kręcili się kelnerzy z najrozmaitszymi potrawami, słodczykami i owocami. Kto chciał, kupował sobie coś do jedzenia, stawiał na stół i zjadał najspokojniej w świecie.

Teatr był dość wysoki, ozdobiony rzezbami i malowidłami. Na podłodze roilo się od skorup pestkowych, papierów i papierosów. Widzowie siedzieli w kapeluszach, luszcząc orzechy i pestki.

Orkiestra znajdowała się nie obok, lecz na samej scenie, z boku. Muzykanci siedzieli wokół stolika, na którym stały szklanki, filiżanki, kubki i talerze z piciem i jedzeniem. Jeżeli któryś z muzyków czuł się głodny, brał wtedy coś ze stolika i nie zważając na to, że powinien w danej chwili grać, posilał się lub gasił pragnienie. W ogóle na scenie nie było żadnego porządku. W jednym kcie stały jakieś zapasowe

stoły, a na nich stopy składanych krzeseł. Wśród dekoracji i artystów kręcili się dzieci i wycierały nosy rękawami. Pogapiwszy się tu trochę, schodziliśmy na widownię, by zająć miejsce wśród widzów.

Dekoracje ustawiali posługacze, stale znajdujący się na scenie. W pewnej chwili, gdy jeden z artystów miał usiąść, podszedł do niego taki posługacz, nie różniący się wyglądem od widza i podsunął krzesło. O mało nie wybuchnąłem śmiechem zobaczywszy, że opuszczoną specjalnie przez artystę tacę inny posługacz zaraz zabrał ze sceny. Ubiorom swoim artyści jaskrawo odcinali się od tła całego otoczenia, bo mieli

na sobie starożytne stroje, takie, jakie widzieliśmy na filmie „Marco Polo”.

Najciekawszy był chyba koniec. Artysty zeszli ze sceny, wbiegła służba i obchodząc całą scenę, dawała publiczności rękoma znaki, że wszyscy mają się natychmiast wynieść. W jednej chwili na widowni zrobiło się pusto.

Udaliśmy się za kulisy. Innych nie wpuszczonoby, lecz nam, Europejczykom, wszystko wolno. Za sceną obejrzelśmy starożytną broń chińczyków, ich włócznie, tarcze i miecze, najrozmaitsze chorągiewki, rogi, a obok nich koszuły, wytłastowane mnogością znaczków chińskich. Wszystko to pokazywał nam jeden z artystów, który zdążył się już przebrać. Farba jednak nie była jeszcze zmyta z twarzy. Objął on, do czego każda rzecz służy, nie przestając jednak dłużyć przy tym palcem w nosie.

Byliśmy bardzo spragnieni, więc weszliśmy do najbliższej cwierni i kupiliśmy parę mandarynek.

Ważeliśmy się jeszcze parę minut po ulicach, nagle memu bratu zachciało się zobaczyć port, który znajduje się w tej części Charbina, nad rzeką Sungari. Żeby tam wejść, trzeba znać drogę. Zatrzymaliśmy pierwszego lepszego „chodzę”, t. j. prostego Chińczyka, wypytując go o drogę. Wyszło z tego więcej krzyku aniżeli sensu. Chińczyk spoglądał to na jednego to na drugiego z nas i nie wiedział, czy opadły go złe duchy, czy też biali chunencuzi (bandyci). Wreszcie zatkał uszy i nie chciał nawet słuchać co do niego mówimy. Za taką zniewagę zostawiliśmy go w spokoju i poszliśmy dalej. Ujrzeliśmy tagarza, chcieliśmy jego zapytać, lecz biegł on z olbrzymimi koszami tak szybko, że odwrócił od nas głowę, gdy był już o 10 metrów dalej. Takiego lepiej nie pytać, bo się nawet nie zatrzyma.

W końcu zdobyliśmy informacje i rozpozналиśmy naszą niewądkę ku Sungari. Mieliśmy przejść przedmieście Fu - dzia - dzianu. Były to wielkie wioski, po prostu straszne do przebycia. Gliniane chaty otoczone wałami piachu, służącymi za ochronę przeciw wylewom rzeki i kupami śmieci, nie wyglądały estetycznie. Tysiące much i muszek, komarów i innych owadów unosiło się w powietrzu. Gdzieś tam siedziało w piachu jakieś umorusane dziecko i bawiło się szmatami, które zapewne wyciągnęło z domowego śmietnika, znajdując się zwykle przed samym wejściem.

(Dokończenie w n-rze nast.)

G. KARMAZYN

Korespondencja z Francji

Auto-stopem na Riwierę

Wymarsz.

Dzień wstaje „zapaskudzony”.

Na tle rześnistej deszczu zarysowują się dwie postacie: garbate, do dobrze wypchanymi plecakami. Nogi rytmicznie uderzają o bruk przedmieścia w takt posłuszne wewnętrznyemu rozkazowi: „ku słońcu, na południe”.

Pierwszego dnia wakacji znajdujemy się, dwie „ajstki” (członkinie Organizacji Oberż Młodzieży) u wylotu ostatniego przystanku metra paryskiego, na początku wielkiej drogi narodowej.

W kieszeni brzęczy moneta 10-frankowa (około 1.50 gr.), cały mój majątek, a w uszach brzmi złowroga przestroga przyjaciół: „Daleko z tym nie zajdziesz”.

Na drodze Napoleona.

W dychawicznym i smrodliwym camionie wydostajemy się na szeroką drogę królewskiego ongiś lasku Fontainebleau. Debiut chyba nie najlepszy, bo już po 60 km. ze sprasowanymi bokami i na wpół uduszone wyziewami, krzyczymy: „dosyć”.

Dalej wypadki toczą się w zwykłym porządku:

— Uwaga, auto na horyzoncie.

Wznosimy i opuszczamy ramiona.

Auto zwalnia bieg, natychmiast dobiegamy z tradycyjną formułką na ustach:

— Czy nie przeszkadzimy?

— Wprost przeciwnie!

Naturalnie, dwie ekscentryczne panny przedstawiają chyba niecodzienną rozrywkę.

Najczęściej już po kilku minutach rozmowy zawiązują się węzły sympatii i w końcu z zalem rozstajemy się, aby kon-

tinuować naszą drogę.

Polykamy kilometry, przechodzimy miasta i miasteczka prowincjonalne.

Po Lyonie, pierwszej stacji odpoczynkowej, nieprzytulnej i zimnej, docieramy do Grenoble. W pięknym mieście, jakby na pokaz zagranicznym turystom, każda ulica strzela wylotem na wysokie, osniewione góry.

Począwszy od Grenoble szeroka droga zakręca, wiruje, wznosi się i opada, przebija tunele, przemija się wąwozami — jest to sławna droga alpejska Napoleona, droga odwrotu i ostatecznej klęski.

Z ostatniego skupienia ludzkiego wydostajemy się na historyczną drogę około godziny 6-ej.

Niestety, w licznych autach spotykamy się stale z odpowiedzią: machnięcie ręki do tyłu, czyli: „Na dworzec, wólczyć!”

Noc alpejska zapada niepostrzeżenie szybko.

Już w gestej ciemności i pod rześnistym deszczem odrabiamy nasze metry i kilometry.

Po obu stronach drogi zarysowują się niewyraźne kontury: to tylko drzewa i zatrzaśnięte, niezamieszkałe szopy.

Niekiedy żółte ślepie samochodów dziurawią nieprzeniknioną zasłonę nocy. Chwila szalonej rozpaczki i... obryzgane błotem zostajemy na koszu.

Nagle z daleka dolatuje słabe szczykanie psów. Nareszcie, ludzie!

Pod dachem gościnnych wieśniaków alpejskich, w ciepłej zupie szybko topimy wspomnienia z niesławnej drogi napoleońskiej. I już nic z niej nie pamiętamy, zasypiając zakopane po szyję w sianie, w wątpliwym towarzystwie szczurów,

prawowitych mieszkańców stodoły.

W nicejskim rozgardiaszu.

Na trzeci dzień przybywamy wreszcie do stolicy Południa: do Nicei.

Z ulgi wyskakujemy z naszego 10-go z kolei auta, unosząc na zesztywniałych nogach porożbijane boki i spiaszczone siedzenia.

Morze! jaskrawo błękitne morze balwani się wzdłuż całego wybrzeża, mocno odcinając się na horyzoncie od jaśniejszego nieba.

Równoległe do plaży ciągnie się słynny deptak nicejski, zwany „Promenade des Anglais”.

Międzynarodowy tłum zawodowych poszukiwaczy rozrywek rozłożył się na krzesłach i leżakach.

Starsi, dystyngowani panowie i różnokolorowe farbowane panie nieufnie obserwują nasze dziwaczne postacie w zakurzonych butach i z potężnymi plecakami. Kontrast jest rzeczwiście komiczny: oni leniwi i bogaci, stworzeni dla nieustannej przyjemności i my, pozeracki kilometrów, niezrozumiałe poszukiwaczki ryzyka.

W Starym Porcie znajdujemy w końcu Oberż. Nieszcześliwy Pere - Aubergiste nie umie zapanować nad nieposkromionym przytłwem młodzieży. Na rowerach czy auto - stopem przybyli „ajści” z Anglii, Holandii, Szwajcarii i Belgii. Kilku Francuzów roztopiło się bez reszty w tej prawdziwej wieży Babel.

Niebardzo się jakoś dorozumiewamy, lecz komu to przeszkadza: uśmiech i radość w

(Dalszy ciąg na str. następnej).

Przygody na odcinku Puławy-Warszawa

Wesoło i beztrosko płynęło nam życie na kolonii w Majdanach, ale nadszedł czas wyjazdu pewnej grupy, wśród której i ja się znajdowałam. Musieliśmy opuścić serdecznych kompanów i uroczy zakątek. Intendentura kolonijna zaopatrzyła nas w wikt, koloniści odprowadzili na przystań, pożegnali horą i wrócili do domu. A my czekaliśmy na statek.

Statek zamiast przyjechać o godzinie 7-ej wieczór, przydreptał z opóźnieniem o godzinie 12-ej w nocy.

Dostaliśmy się w ogólnym tłoku na pokład, gdzie rozlokowawszy nasze manatki, ułożyliśmy się do snu. Mirka ze mną na ławce, Sroka z Reginką na ziemi, a Jerzyk łapał drzemkę na siedząco.

Gdy tak spaliśmy, rozległ się wśród nocnej ciszy głos:

— Wstawać z legowisk i na krypę, jazda! Wstawać, pacholki boże, bo za uda was powyciągam!

Wstajemy, rozglądamy się, na pokładzie ruch nie do opisania, ale jeszcze większy panuje na wystającym za statkiem „półwyspie”. Wszystkich zgromadziła krypa. Okazało się, że nasz ukochany statek „Kościszko”, jak stał o godzinie 1-ej w nocy, tak stał do godziny 6-ej rano, więc aby go odciążyć, zgromadziło nas na krypie, na „pewną grype”.

Wreszcie o 7-ej rano statek ruszył. W ciągu dnia schodziliśmy bez przesady 15 razy na krypę.

Najajutrz, po nieprzespanej nocy, z pustym żołądkiem i takąż niechęcią, musieliśmy znów zejść na krypę, ale niechętnie, bo w rozsypce. Ja z Mirką byliśmy na jednej krypie, Sroka z Jerzykiem na drugiej, a Reginka została na statku. Na krypach siedzieliśmy o głodzie i chłódzie przez 6 godzin. Pierwszym pożywieniem były jabłka, które przywieźli nam Sroka i Jerzyk.

Tymczasem „Kościszko” utknął na mieliźnie na dobre i nawet o cal nie posuwał się na przód: „ni w te, ni we wte”.

Gdyśmy tak siedzieli na kry-

pach, zauważyliśmy nadjeżdżający ze strony Warszawy statek. Statek ten wkrótce także ugrzązł koło naszego „klaka”. Nazywał się „Raciawice”. Po zapoznaniu się z pasażerami „Raciawice” okazało się, że są tam nasi znajomi którzy dopiero jadą na kolonię do Majdan. Nastąpiła między nami wymiana słów listów, pozdrowień i t. p.

Wreszcie „Kościszko” zebrał całą swą energię i postanowił przebić się przez mieliżnę. Jak to on, „Kościszko”, ma splamić swój honor? Nie, stanowczo nie. Przeciagłym gwizdem zwołał wszystkie krypy, zebrał pasażerów i majestatycznie, triumfując niepomiernie, ruszył naprzód.

Nasz pogląd na tę całą hecę był wcale nie różowy. Wszystkie zapasy żywności wyczerpały się, groziła nie mieliżna przyduszy. Jedynym naszym pożywieniem w ciągu dnia były słodkie ogórki z czerstwym chlebem razowym. Mimo wszystko cały czas śpiewaliśmy, a to z dwóch powodów. Po pierwsze: kiedy człowiek śpiewa? Kiedy jest głodny. Po drugie: na statku jechała grupa dzieci z jakiejś kolonii; dzieci kompletnie głodowały, lecz mimo wszystko pogodny nastrój wcale ich nie opuszczał, co się i nam udzieliło.

Trzeba było jednak pomyśleć o jakimś wyjściu z tej sytuacji, bo gdyśmy zapytali kapitana, jak długo będziemy się tak wlec, odpowiedział: „może dzień, a może tydzień”. Tego było już za wiele. Najlepiej byłoby wysiąść w Kozienicach i stamtąd pojechać autobusem do Warszawy.

Ta propozycja dana przez Srokę znalazła wielu zwolenników. A pieniądze? Nikt ich nie posiadał. Liczyliśmy, że po przyjeździe do Warszawy zostawimy bagaż w autobusie, pójdziemy po pieniądze, a następnie wrócimy po bagaż. Śmiały projekt został powzięty i wykonany.

W Kozienicach wysiadło 10 osób. Za „wyskrobane” cztery złote wynajęliśmy furmankę,

która miała nas zawieźć do miasteczka. Nigdy nie zapomnę tej jazdy. Była godzina 10-ta wieczór, jechaliśmy przez pola i łąki drogą oświetloną przez księżyc. Wesoły nasz śpiew rozchodził się dalekim echem. Z chat wybiegały na spotkanie psy, głośno szczekając. Tumanu kurzu podnosił koń. Naokoło pachniało świeżością.

Gdyśmy tak jechali, wskoczył na furmankę jakiś człowiek, który jak się później okazało, znał doskonale Srokę.

Po przyjeździe do Kozienic ów znajomy zabrał nas do siebie, dał nam kolację, pomieszczenie, słowem zaopiekował się nami. Tylko ja byłam pośmiewiskiem u wszystkich, bo gdzie stanęłam, tam zasypiałam, obawiano się nawet, że mam śpiączkę.

Najajutrz wyspani, syci, z zapasem żywności, udaliśmy się na przystanek autobusów i kupiliśmy bilety za pieniądze, które pożyczył nam znajomy. Mirka i ja miałyśmy po pół biletu, więc musiałyśmy cały czas siedzieć skulone na cudzych kolanach i wskazując na wszystko palcem pytać: „Co to jest?”

W ten sposób przyjechaliśmy do Warszawy, której pierwsze domy powitałyśmy głośnie: hurra!

BELA z Miłej.

Auto-stopem na Rywiere

(DOKONCZENIE).

oczach spaja nas w jedną harmonijnie bałaganującą gromadę. Skandalom nie ma końca: w shortach tańczymy w samym centrum miasta, naprzeciw Casina - Ruletki.

Poprzez 24-kilometrowe państwo.

Z Nicei aż do granicy włoskiej droga spada z jednej strony do morza, a z drugiej wznosi się na skalistą dekorację Alp.

Południowa wiosna zieleni się palmami, cyprysami, drzewkami cytrynowymi i lila - różowym kwiecikiem brzoskwiń. Wśród tej bogatej roślinności kryją się luksusowe wille i hotele.

Zrozumiałe, że w tym przebogatym otoczeniu mało korzystamy z eleganckich limuzyn. Nie przez naszą pogardę, ale raczej przez ich dostojną obojętność. W trójkę (pomnożyliśmy się o „ajisję” z Kanady) podróżujemy więc przez bogaty kraj prawie wyłącznie w ciężarówkach.

Za chwilę przekraczamy swoją hodnie „granicę”, czyli pionową linię na mostku, oddzielającą Francję od lilipucijskiego Księstwa Monaco. La Principaute nie jest niczym innym, jak zbudowanym wzniosłym miastem o powierzchni 24 km. Chlubą

Monaco jest Park Egzotyczny, zawierający 200.000 gatunków roślin, zebranych we wszystkich zakątkach tropikalnych świata.

Nie zatrzymując się, przejeżdżamy przez Monte Carlo i wreszcie docieramy do ostatniej stacji francuskiej przed granicą włoską, do Mentony.

W Mentonie wśród drzew pokrywanych dojrzałymi pomarańczami pełno pijanych marynarzy angielskich: to święto wzniesienia pomnika królowej angielskiej Wiktorii.

(Dokonczenie w n-rze nast.)

kazały się chmury, które wkrótce zakryły całe niebo. Zanosilo się na burzę. Postanowiliśmy wyteńczyć wszystkie siły, aby zdążyć przed nią do Ostrołki.

Wiatr, wiejący prosto w twarz, utrudniał nam pracę. Wtem niebo przecięła błyskawica, a po chwili zaczął padać deszcz, który wkrótce zamienił się w ulewę. Raz po raz waliły pioruny, błyskawice rozdzierały niebo.

Postanowiliśmy dobić do brzegu i przeczekać burzę, ale w tej chwili wicher przewrócił kajak. Wpadliśmy do wody. Wszystkie przedmioty z metalu, jak pudełka, kuchenka spirytusowa i t. p. poszły na dno. Prąd i wiatr utrudniał nam ratunek. Dwa wiosła poszły z prądem. Ponieważ słabo pływam, trzymałem się kurczowo kajaka i nie tylko, że nie pomagałem, ale jeszcze przeszkadzałem bratu.

Po wielu wysiłkach dopłynęliśmy do brzegu zmoknięci, zmarznięci, ciągnąc za sobą kajak i jedno ocalałe wiosło. Skośtniali czekaliśmy świtu.

O świcie burza uspokoiła się i zza chmur wyjrzało słońce. Pojechaliśmy dalej. Trząśłem się z zimna, ale nadrabiałem miną, żeby pokazać, jaki jestem wytrzymały. Ale w Ostrołęce ciotka ujrawszy mnie, zaraz kazała iść do łóżka.

IZIO z Łomży.

Kajakiem do Ostrołki

W lipcu, kiedy pogody były słoneczne, postanowiliśmy ze starszym bratem Dankiem i jego kolegą Genkiem pojechać kajakiem do Ostrołki. W Ostrołęce zaraz za miastem nad Narwią mieszka nasz wujek. Droga wynosi 65 km. i powinna trwać jeden dzień.

Postanowiliśmy wyjechać w środę o godzinie 6 rano. Kilka dni żyliśmy w niecierpliwym oczekiwaniu. Nareszcie nadeszła środa. Przed godziną szóstą byliśmy już nad rzeką. Po krótkim przygotowaniu o godzinie 6-tej z minutami wyjechaliśmy z Łomży.

Około godz. 8-ej po prawie dwugodzinnej podróży dotarliśmy do Białej Góry. Malownicze położenie tej miejscowości skłoniło nas do zatrzymania się, aby ją obejrzeć i zjeść śniadanie w tym miłym zakątku. Po śniadaniu ruszyliśmy dalej. O godzinie 11-ej przybyliśmy do Nowogrodu. Jest to jedyne miasto nad Narwią między Łomżą a Ostrołką. Po zwiedzeniu Muzeum Kurpiowskiego i zjedzeniu obiadu, ruszyliśmy o godzinie 13-ej dalej.

Przed wieczorem zerwał się silny wiatr i na horyzoncie u-

FRANIA Z NOWOLIPIA.

„FAGRIH”

I. JAK SIĘ ZACZEŁO.

Zaczeło się od tego, że Fania miała przenieść się do szkoły na ul. Spokojną. Ostatecznej odpowiedzi pani wychowawczyni jeszcze nie dała, bo miała porozumieć się z panią kierowniczką.

— Więc mam dzisiaj zostać jeszcze w szkole? — zapytała Fania

— Tak, na razie poszukaj sobie gdzieś miejsca.

Fania zadała sobie pytanie, gdzie usiąść. Najlepiej na ostatniej ławce obok Hanki i Ady. Na tej lekcji ona i tak nie będzie uważała. Nie obchodziło jej nic. Jedna myśl ją tylko dręczyła, że teraz w piątym oddziale ma opuścić wszystkie swoje koleżanki i udać się do innej szkoły, gdzie nikogo nie zna, gdzieś na drugim końcu Warszawy, na Spokojną. I Gutę trzeba będzie opuścić. To istnie niebezpieczeństwo. Więc Fania modliła się do Boga, niech jej pomoże i zrobi tak, aby w tej szkole została.

Z tego niby modlenia wyrwał ją donośny głos dzwonka. Więc już koniec lekcji?

— Słuchaj — zwraca się do Hanki — czy pani coś zadała?

— Tak, nie słyszałaś, trzeba zrobić plan czytanki.

— A czy ty masz polską książkę? — pyta dalej.

— Mam.

— Czy mogłabym przyjść do ciebie odrabiać lekcje z Gutą?

— Ależ proszę bardzo.

— Po co właściwie mam odrabiać lekcje? — pytała siebie sama — kiedy i tak będę przeniesiona.

No, ale zaskodźcie nie może. Po obiedzie przyszedł wraz z Gutą do Hanki, gdzie była już Ada. Odrabiała lekcje. Zostało tak umówione, że Fania, jako druga

nocnica w klasie będzie dyktowała, a one będą pisały.

Najajutrz Fania przekonała się, że jednak Bóg wysłuchał ją, bo dostała odpowiedź, że zostanie w szkole. Cóż to była za radość! Tego dnia umówiła się z nimi znów i tak się zaprzyjaźniły.

II. — ICH WIECZORY.

Stały się pilnymi uczenicami. Przedtem były także pilne, ale teraz bardziej. Spotykały się co wieczór u Hanki. Zostawały u niej w domu prawie co wieczór, to dopiero był raj. Lekcje nie zajmowały im dużo czasu, odrabiały je więc szybko, a potem... Potem pora na zabawę.

Pewnej środy po odrobieniu lekcji zaczęły się jak zwykle narady, w co się zabawić. Wreszcie padł projekt, aby zabawić się „karczmą się pali”. Trójka więc usiadła w jednym rzędzie, a Fania nieco dalej.

— Pewnego pięknego wiosennego popołudnia — mówiła Fania — kiedy słońce już zachodziło i zbliżało się ku wieczorowi, mimo, że...

— Nie bawię się — przerywa Hanka — bez filozofii, opowiadaj ciekawie.

Fania niebardzo zadowolona z tego, że im się to nie podoba, szuka innych nie „filozoficznych” wyrażań.

— Było to pod koniec lata. Miałam się udać do koleżanki po pewną książkę... i t. d. i t. d.

Opowiadanie stawało się coraz ciekawsze bo Fania czasem umiała wymyślać niestworzone rzeczy, o których się nigdy nie słyszało. Nasza trójka tak była pochłonięta opowiadaniem, że nie pamiętała o klaskaniu przy słowie „karczma” i coraz więcej fantów wpływało. W końcu Ada pozostała bez pantofli i skarpetek, inna bez spinki do włosów, fartucha, chustki, słowem każda z nich miała na sobie już tylko sukienkę, która po chwili mogła uchodzić także za fant.

Ale stało się inaczej. Fania w swoim opowiadaniu powiedziała: „zauważyłam jakąś tunę i pomyślałam, że to pewnie karczma się pali...” Przy sło-

wach „karczma się pali” wszystkie miały zmienić miejsce, a tu nikt się nie rusza (wszystkie były bosc).

— Co to, — krzyczy zdenerwowana Fania — dawać fanty!

— A jakże, może będziemy na bosaka biegać?

— Nie mnie nie obchodzi, jak zabawa to zabawa, proszę o fanty.

— Nie damy, zresztą daj pantofle.

— Nie dam.

— Ale nam zimno — krzyczy zdenerwowana Hanka.

— Co mnie obchodzi, nie trzeba się było bawić.

— Dajesz pantofle?

— Nie!

— Dajesz?

— No, mówię, że nie.

Nie? Teraz już nie patrzyły na bosc nogi, ale wszystkie jak na komendę wstały i dały - że do bitwy.

I zaczęła się prawdziwa bijatyka o fanty.

Wtem... otworzyły się drzwi. Błające się stały nagle jak wryte. W drzwiach stał kolega ojca Hanki.

Zdziwiony spojrział, potem uśmiechnął się i bez słowa wyszedł.

Długo stały jak oniemiałe, nie rozumiejąc jeszcze, co tu się stało. Jedna spoglądała na drugą, w końcu wszystkie wybuchły śmiechem. Bo rzeczywiście śmiesznie wyglądały. Podrapane, ubranie rozrzucone, włosy potargane. Okropność!

Od tego dnia więcej nie bawily się w fanty. Było dużo innych zabaw, a najulubieńszą ich grą były „liściki”. Po prostu liściki, właściwie pocztą.

Posyłano do siebie pytania, był jeden listonosz, który rozdawał. Trzeba było odpowiadać szczerze. Różnego rodzaju były pytania.

W ten sposób prowadziło się listownie różne rozmowy, bardzo zresztą ciekawe, czasem jednej wyrwało się jakieś słowo i mimowoli z pisanja przechodziły do omawiania pewnych tematów czy to przyjaźni, czy idei — różnie.

(d. c. n.)

W DRUSKIENIKACH

W GÓRACH

Wybrałem się z kolegą na wycieczkę rowerami. Wyjechaliśmy o godz. 4-ej. Zamierzaliśmy być przejechanie dwudziestu trzech kilometrów w jedną godzinę i dotarcie do Uciechy na zmianę warty. (Uciecha jest bramą graniczną Polski i Litwy).

Zabraliśmy wszelkie potrzebne akcesoria, jedzenie na drogę i dwa złote na drobne wydatki. Ojcowie wprowadzili krzyż się trochę i niebardzo chętnie wypłacili pensję za dwa tygodnie z góry.

Droga prowadziła przez las. Ruszyliśmy wściekłym galopem. Przyłączyło się do nas jeszcze dwóch kolegów. Razem było nas czterech: Mietek, Niutek, Kazik, no i ja t. zn. Witek.

Jechaliśmy szalenie szybko, to też zmęczeniśmy się bardzo. Wreszcie zbliżył się pierwszy postój. Z zadowoleniem stwierdziliśmy, że pierwszy odcinek, to znaczy pięć kilometrów przejechaliśmy w osiem minut i 35 sekund. Postój trwał akurat dwie minuty i 65 sekund i o godzinie 4-ej minut jedenaście ruszyliśmy w dalszą drogę.

Jechaliśmy znacznie wolniej, ponieważ nie zdążyliśmy odpocząć dostatecznie. Gdy przyszliśmy na drugi postój, była godzina 4-ta minut 24 i zostało nam do przejechania 13 km. w ciągu 36 minut. Mietek, dowódca wycieczki wygłosił do nas płomienną przemowę na temat „wytrwałości i wytrwałego dążenia do obranego celu”. Dzięki temu postój trwał aż 6 minut i o godzinie 4.30 ruszyliśmy dalej.

Rozmawiali i rozmieszczeni przemową Mietka, a jeszcze bardziej długim postojem, pędziliśmy bez odpoczynku przez 8 km., przebywając je rekordowo w krótkim czasie, tj. w 13 minut. Postój trwał trzy minuty i o godzinie 4-ej minut 46 ruszyliśmy dalej. Przebiec ostatniego odcinka zajęło nam 11 minut i 3 minuty przed 5-tą byliśmy w Uciechu.

Przyjeżdżaliśmy się zmianie warty i ruszyliśmy w powrotną drogę. Po drodze wstąpiliśmy na jezioro Iłgis. Na jeziorze stał ciekawy przyrząd, zwany rowem wodnym. Jako zapalenia rowerzyści przyjeżdżaliśmy mu się dokładnie. Składał się on z dwóch belek, leżących na wodzie. Na belkach umocowano coś w rodzaju bryczki. Na samym środku tej oryginalnej bryczki był umocowany rower bez kół. Do kierownika były przywiązane łańcuchy od steru, a od pedału biegł łańcuch rowerowy aż do śruby, poruszającej ten oryginalny przyrząd. Zapragniśmy wypróbować go i po długich targach wynajęliśmy rower wodny na pół godziny za 40 gr. Od razu wjechaliśmy w wodorosty i nie mogliśmy się wydostać. Wreszcie wyjechaliśmy na środek jeziora. Przystaliśmy pedałować i zrobiliśmy parę zdjęć. Widok był naprawdę piękny. Przeglądając mu się nie zauważyliśmy, że rower oddała się coraz bardziej od brzegu. Gdy wreszcie zauważyliśmy, przystaliśmy była prawie niewidoczna.

Mietek, jako najsilniejszy, usiadł na siodełku i zaczął gorączkowo pedałować. Wtem... stało się nieszczęście. Stary, zarzewiający pedał pękł i spadł na dno „bryczki”, a łańcuch wpadł do wody i utopił się. Stanęliśmy bezradni. Wtem — jakby jeszcze za mało było nieszczęścia, niebo stało się zupełnie granatowe i lunął deszcz.

Pchani wiatrem coraz bardziej oddalaliśmy się od przystani. Żadne manewrowanie sterem nie pomagało. Bez pedału

byliśmy zupełnie bezradni. Groziło nam wywrocenie w miejscu głębokim na 10 metrów i w odległości 1 km. od brzegu. Z przystani wołano coś do nas. Sytuacja była naprawdę groźna.

Niutek, najpobożniejszy z naszej czwórki mówił „kryszme”. Kazik bezustannie strzelał ze straszaka po pomoc. Ja z Mietkiem jeszcze kręciliśmy przy sterze.

Wreszcie wypogodziło się. Z przystani wysłano łódkę, która przyholowała nas do brzegu. Byliśmy przemoknięci do suchej nitki i dosłownie szczekaliśmy zębami. Jakby mało było tego dobrego, za zepsuty rower zabrano nam wszystkie pieniądze, tak że nie mogliśmy nawet kupić po szklance herbaty.

Tę wycieczkę przypłaciłymi dwutygodniowym przeziębieniem i ośmioma złotymi.

WITEK z Leszna.

NA KOLONII SZOMROWEJ

Mieliśmy owego dnia grę skautową, w której brały udział dwie grupy: wartownicy i podkradający się. Wartownicy byli ukryci w krzakach i pilnowali chorągwi. Podkradający się zaś chcieli zdobyć chorągiew i oczywiście nie być zauważonymi przez wartowników.

Jeżeli wartownik ujrzał podkradającego się, mówił: „amod” czyli „zatrzymaj się” i odbierał mu krawat. Zdobyte krawaty trzeba było oddać naszemu kierownikowi Szmuelowi, który był w Dąbrowie, w pewnej wiosce pod Kazimierzem.

Z kilkoma koleżankami pobiegliśmy do Dąbrowki, by oddać Szmuelowi zdobyte krawaty. Zamiast Szmuela zastaliśmy dyżurnego. Na pytanie nasze, gdzie jest Szmuel, dyżurny powiedział, że Szmuel poszedł do chłopów, bo miał tam u nich coś załatwić (zdaje się sprawy pieniężne) i że zaraz przyjdzie. Wróciliśmy więc. Po upływie godziny zauważyliśmy, że już powinna być zakończona gra, było już po szóstej.

— E, chyba Szmuel zaraz przyjdzie i zakończy grę.

Ale Szmuel nie przychodził. Minęły znów dwie godziny. Zaniepokoił się poważnie. Wreszcie dyżurny powiedział:

— Chodźmy do obozu. Szmuel sam przyjdzie.

W nocy po capstrzyku opowiadaliśmy sobie długo straszne przygody, które mogą spotkać Szmuela.

Nazajutrz o godzinie 4-ej nad ranem obudził nas przeraźliwy krzyk, myślałam, że się dom wali:

— Jak wy możecie spać, kiedy Szmuela nie ma!

— Szmuela nie ma? — krzyknęliśmy, zrywając się z łóżek.

— Nie ma... przedziwny! Szukaliśmy całą noc. Ubierać się szybko — krzyczał kierownik Mosze.

Ubieraliśmy się w takim pośpiechu i zdenerwowaniu, że na jednej nodze była brązowa pończocha, na drugiej czarna, lewy but był na prawej nodze, prawy na lewej, dekolt bluzy był na plecach.

Mosze pobiegł naprzód, wszyscy za nim. Pędziliśmy co tchu. Czuliśmy, że za chwilę przystanę, że już nie mogę. Ale zebrałam w sobie resztki siły i biegłam dalej. Przecież tu idzie o odnalezienie Szmuela.

Słyszeliśmy obok mnie cichutki płacz.

— Tylko nie płakać, to nie pomoże.

Zatrzymaliśmy się przy lesie, w którym wczoraj odbyła się ta gra.

— Rozsypać się po całym lesie i szukać śladów — rzucił komendę Mosze.

Nie chcąc być sama, przyłączyłam się do pewnej gromadki. Co tam się działo!

— Noszę jedwabne pończochy — mówiła Miriam.

— Miał mój zegarek — dodaje Ester.

Jeden z nas znalazł coś i zawołał Bat-Ami.

— Szara bluza — krzyknęła przeraźliwie Bat-Ami.

Zobaczyliśmy strzęp szarej bluzy, poplamionej krwią.

— Zabili go, zranili — padły przypuszczenia.

Ponieważ Szmuel miał odebrać od chłopów pieniądze, przypuszczaliśmy, że napadli go i on się widocznie bronił. Rzeczywiście nieco dalej zobaczyliśmy rozkopaną ziemię.

— Tu się szantowali. O tu, patrzcie.

Nieopodal leżał złamany fiński nóż Szmuela.

— Chłopi go pewnie związali.

Ktoś powiedział, że napewno Szmuel myślał o nas, jak go prowadzili. Może pokryjomu rysował nogą znaki dla nas? Zaczęliśmy szukać. Co chwila ktoś wykrzykiwał: „strzałka” i kierownicy natychmiast biegli w tę stronę, szukając Szmuela. Ten i ów przykładał wtedy do ust wołając: „Szmuel!” Bo może odezwie się jakiś jęk.

Wreszcie kierownicy nasi postanowili, że pójdziemy do domu i położymy się, a oni sami tymczasem będą szukali Szmuela. Nie pomogły protesty. Z żalem musieliśmy wrócić.

Położyliśmy się spać w ubraniach, nikt nie zasnął. Jeżeli nawet ktoś zasypiał, sny miał urywane i dziwne. Pamiętam, jak jedna z dziewczynek krzyknęła przez sen: „Szmuel, idź po kaczki!”. Było to naprawdę śmieszne, ale nikt się nie śmiał.

Chłopcy byli wytrzymalsi od nas, dziewczynki, dlatego też nie położyli się, ale spacerowali, oczekując wiadomości.

Poprosiliśmy ich, żeby natychmiast nam powiedzieli, jeśli się czegoś dowiedzą. W godzinę potem przybiegł jeden z nich zadyszany, cały czerwony, wołając:

— Szmuel odnaleziony!

Porwaliśmy się wszyscy na nogi i pędzimy w stronę domku kierowników. Aż dech zapierało. Zobaczyliśmy wszyscy, jak dwóch kierowników dźwiga no-

mi koźlakami, kurkami, gaskami i innymi grzybami. Widząc, że daleko z tym ładunkiem nie zjadę, wyrzuciłam je i pobiegłam w stronę strumyka. Strumyk według opowiadań górali powinien być zaraz się ukazać.

Nagle, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, ukazał się cudny widok: strumyk zakrecał w tym miejscu, daleko, prawie na horyzoncie widziałam małą pastuszkę, poganiającą krowy; gdzieś koło szczytu góry widać lekki dymek, widocznie górale rozpalili ognisko.

Niebo było jasno — niebieskie i harmonizowało z barwą strumyka. Zbiegłam po stromej skale nad sam strumyk, gdzie usiadłam i „zaczęłam marzyć”, jakby to określiła moja koleżanka Dziunia. W tej chwili poczułam brak kogoś, aby podzielić się z nim swymi wrażeniami i zaczęłam wołać:

— Dziuniu, Dziuniu!

Po chwili usłyszałam tupot. To biegła Dziunia. Za nią szedł majestatycznym krokiem Marek, który usłyszawszy moje wołanie, ciekaw był, czego chcę od Dziuni. Dziunia i ja na próżno usiłowaliśmy go odgonić. Biegając na grzyby, zapomniałam, że opuszczam naszą grupę, ale teraz Dziunia zaprowadzi mnie tam, gdzie była pani Chana.

Po wielu trudach przeprawiliśmy się przez strumyk. Zobaczyłam miejsce, które zwiedzała poprzednio nasza kolonia. Z daleka dochodziło nas nawoływanie pani Chany. Odpowiedziałam, że owszem, słyszymy, ale nie chce nam się wracać i pomknęliśmy dalej.

Po półgodzinnej drodze straciłmy kierunek. W ogóle nikt z nas nie wiedział, gdzie stoja bryczki, gdzie jest strumyk, a gdzie nasza czcigodna kolonia. Ha, trudno. Ja i Marek pogodziłmy się z losem, a Dziunię, znałgo tchórza ogarnia strach.

— Nie bój się — pocieszam ją — w najgorszym razie przeocujemy tu.

Po jakimś czasie Marek zaczyna biec przed siebie. My za nim. Biegniemy bardzo szybko. Marek co kilka minut zmienia kierunek. Biegnie on tak szybko, że my nie możemy już złapać ichu, więc przystajemy, a po odpoczynku biegniemy jeszcze szybciej.

— Nareszcie — wykrzyknęła Dziunia — gdy wybiegliśmy na szosę.

Jeszcze kilka minut szalonego biegu i stało się to tak niespodziewanie, że sądziłam, iż jest to coś w rodzaju fatamorgany. Otóż na szosie stały sobie najspokojniej w świecie nasze bryczki. Dziunia odetchnęła z ulgą, ale ja w gruncie rzeczy wołałabym zostać na noc w lesie.

Koło bryczek rozpalili ognisko nasi „gazdowie” i jedli kartofle (po góralsku „pyrki”). Zobaczywszy nas, jeden z nich wstał i rzekł:

— Siadajcie kole nas. Stoch Leśny tu jest. Chcecie panienki pyrki?

Podziękowaliśmy za gościnność i wyruszyliśmy w dalszą drogę. Niestety, za późno. Szybkim krokiem zbliżała się ku bryczkom pani Chana.

Będzie bura — szepnęła Marek.

Ale pani Chana była tak ucieyszona naszym widokiem, że nawet o burze zapomniała.

— Już czas do domu — rzekł Stach Leśny, więc wpakowaliśmy się do bryczek i wyruszyliśmy w drogę powrotną.

Zegnaj, miłe Podrąbane aż do następnego pobytu w Rabce.

NINA.

ZART

ODPOWIEDZ

W pogodny, słoneczny dzień nauczyciel wybrał się z dziećmi do parku. Przy okazji chce sprawdzić wiadomości przyrodnicze klasy. Zwraca się do uczniów:

— Czy widzicie, te dwa ptaszki, siedzące obok siebie na drzewie?

— Tak, widzimy.

— Kto z was mi powie, który z nich jest czyżkiem, a który skowronkiem?

Cisza. Nikt nie umie odpowiedzieć. Wreszcie jeden z chłopców mówi:

— Ja wiem!

— No powiedz.

— Ten, który siedzi koło skowronka, jest czyżkiem!...

Wakacje, których nie było

Gdy byłem mały i przyszło lato, zapragnąłem wyjazdu na letnisko, bo już dosyć miałem chederu. Nie śmiałem jednak prosić o to rodziców.

Co sobota ktoś z rodziny radził, dokąd można by wyjechać. Czasami też radziła nasza sąsiadka. Ale tatuś zawsze kiwał tylko głową i mówił „no”. Siedziałem jak na szpilkach, oczekując, kiedy nareszcie tatuś powie: „no, to w takim razie wynajmijcie mieszkanie”.

Przeszła pierwsza sobota, przeszła druga i trzecia sobota po świętach, a sprawa wcale nie posunęła się naprzód. O mało nie płakałem z rozpacz.

Czwartej soboty mamusia opowiedziała nam, że jak była mała, wyjechała na wieś. Pamięta jeszcze zapach świeżego siana i poszum lasu. Chciała by tam teraz pojechać z dziećmi. Niech ojciec wybierze się w niedzielę i wynajmie mieszkanie. Wtedy tatuś odrzekł:

— Przecież wy wiecie, że ja nie mam czasu. Wynajmijcie sami mieszkanie, a ja do was będę przyjeżdżał na soboty.

Przestano o tym mówić. Po kolacji, gdy tatuś położył się spać i nikogo już nie było w domu oprócz mamy, podszedłem do niej i nieśmiało zacząłem wypytywać: czy naprawdę wyjeżdżamy, jak długo potrwa droga i kiedy mamusia wyjedzie do tej pachnącej sianem wsi, aby wynająć mieszkanie. Mamusia przyrzekła mi, że w niedzielę na pewno tam pojedzie.

Pobiegłem do chederu, ale kolegów już nie było, dostałem tylko lanie od rebo. Wyskoczyłem na ulicę, zatrzasnąłem drzwi za sobą i krzyknąłem rebo, że wcale się go nie boję, bo w niedzielę wyjeżdżamy. A

rebe mi odpowiedział, że za każdy dzień nieobecności dostanę pasem na gołego. E tam, pomyślałem przez lato na pewno zapomni.

Pobiegłem na łąkę, gdzie bawili się koledzy. Opowiedziałem im wszystko i dodałem, że będą mogli przyjeżdżać do mnie na święta, zresztą mogą przychodzić, gdyż nie jest daleko do tej wsi. Jest tam rzeka i będziemy się kąpać, jest też duży las, to pójdziemy na jagody. Koledzy zazdrościli mi i powiedzieli, że zrobią bunt w chederze: niech rebe uczy tylko do czwartej po południu. Nie można całe lato przesiedzieć nad księgami. Niech nam zostawia chociaż popołudnie wolne od nauki!

Marzyliśmy tak do wieczora na łące. Żyłem nadzieją, że już jutro wyjedziemy.

Obudziłem się o godzinie piątej i już więcej nie mogłem zasnąć. Gdy mamusia wstała, zapytałem jej nieśmiało, troszkę pod nosem, czy dziś wyjeżdżamy. A mamusia mnie wykrzyczała, dlaczego ją zamęczam. Rozpłakałem się gorzko i powiedziałem, że mam podarte buty, dlatego nie pójdę dziś do chederu.

Po południu rebe przysłał chłopaka, żeby się dowiedział, czy wyjechaliśmy. Mamusia powiedziała, że wcale nie wyjeżdżamy.

Nazajutrz, gdy poszedłem do chederu, tak się bałem rebo, że może godzinę stałem pod drzwiami, wreszcie przyszedł jakiś gość do rebo i pociągnął mnie za sobą.

Rebe nabił mnie za spóźnienie i bardzo się drażnił, że nie wyjadę.

Jakub z Lublina.

Z życia młodzieży pracującej

Mój zwykły dzień letni

Jest jeden z dni letnich, zapraszających ludzi gorączką i budzących niepokój. Za oknem porażnione miasto szumi, kipi, przelewa się między sygnalami tramwajów, aut, dorożek. W pokój siedzi kilka dziewcząt, schylonych nad swoją robotą. W rękach migają szybko igły, sukienki, ubranka dziecięce. Dziewczęta rozmawiają i śmieją się głośno.

Siedzę przy maszynie do szycia, wciśniętej w kąt pokoju. Stalowy lancet zanurza się raz po raz w niebieskiej tkaninie. Nogi poruszają się miarowo: nogi... chrobot... koło... igła...

Widzę korowód dzieci, dla których szyjemy ubranka. Duże, mniące się w słońcu kokardy, króciutkie, jasne sukieneczki, szereg główek mniejszych lub większych, dzieci biedne i bogate, smutne i wesole.

Myślę o dziewczynce, która była tutaj przed chwilą. Liczy około czterech lat.

Matka dziewczynki wciąż powtarza to samo: „prawda, że moja córeczka jest fenomenalnym dzieckiem?”

— Lizenko, kochana, powiedz kto to jest Hitler?

— Hitler to... — zająknęła się mała.

— No, barb... — podpowiada matka.

Dziewczynka kończy, zadowolona z siebie.

— A co robi Hitler? — indaguje matka.

— Biję Żydów.

— Czy nie mówiłam — woła matka z triumfem. — Ona nawet na polityce dobrze się zna.

Potem następuje cały szereg historyjek, w których jakoby u-

wydatnia się mądrość dziewczynki.

— Cudowne dziecko — przytakuje prawie wszystkie.

„Maszyna, na której szyję, zniknie na chwilę, potem duże koło zaczyna się kręcić, drugie mniejsze i ogarnia, biały lancet przebija niebieskie płótno, tylko jakoś wolniej, ociężalej.

Na niebieskim płótnie osiada smuga słońca. Teraz dopiero spostrzegam, ile słońca rozlało się po pokoju. Przychodzi mi na myśl, że przecież okno zamyka życie ludzkie. Za oknem mieszkańcy miasta wałęsają się po ulicach. Powietrze drga śmiechem.

Duże koło obraca się wolno... wolno... igła przebija tkaninę i powtarza zgrzytliwe słowo:

— Życie... ży—cie...

Do głowy cisną się wspomnienia. Myśli kłębią się, uderzają w skronie. Wyłaniają się fakty stare, znane, rozproszone rzeczywistością wspomnienia i jak obłoki czy dymy, zaczynają się zbiegać i ożywiać.

Płecy boją. W krtani sucho. Ot rzucić to wszystko i pójść sobie. Nie chcę naprawdę nie moge już więcej.

Do mojej najbliższej sąsiadki przyszła koleżanka też studentka. Na początku nie zwracano na nią uwagi. Ale ona zaczyna mówić o nas, młodzieży pracującej.

— Tylko zazdrościć wam trzeba decyzji i silnej woli — zwraca się przybyła do nas wszystkich — wasz krok winien postużyć za przykład; społeczeństwu nie spauperyzowanej inteligencji, ale inteligentnych fachowców brak...

— Po co ona to płecie —

myślę pochylona nad ubraniem z niebieskiej tkaniny.

Przed pół rokiem tak samo uważałam. Postąpiłam uczciwiej niż ona, dokonałam eksperymentu na sobie. Nie udał się, coż, mam przynajmniej na tyle silnej woli, żeby wytrwać, żeby nie porzucić pracy, której, nawiasem mówiąc, nie znoszę. Po co te frazesy? Czy mam „pokochać” zawód dlatego, że nie mam szkoły? Czy naprawdę tylko dlatego?

— Pani jest, że tak powiem, naiwna — przerywa przybyłej młoda dziewczyna, siedząca przy drugim stole.

Spoglądamy na nią ze zdziwieniem, bo prawie nigdy nie bierze udziału w ogólnej rozmowie.

— Przede wszystkim zaznaczę — ciągnie dziewczyna nie przerywając swej pracy, polegającej na upinaniu sukni na manekinie — że nasz krok zawdzięczamy, nie jak pani sądzi własnej woli, ale naciskowi konieczności. Po prostu nie mamy innej drogi. Sądzi pani, że odpowiednie kwalifikacje wystarczą do otrzymania pracy. Hm, dobrzeby to było. Zrozumcie — dodaje gwałtownie — mam młodość, zdrowie, maturę w kieszeni i znajomość zawodu, który bardzo lubię, ale czy dostanę pracę? Ilu jak ja jest bezrobotnych fachowców.

Przed obiadem kończę pracę. Oddycham z ulgą. Ulice przebiegam szybko. Wygląd ulic rzadko się zmienia. Przedmioty na wystawach sklepowych są tak starannie ułożone jak zawsze.

Przeglądam się ludziom prawie obojętnie. Dawniej bywało inaczej. Przed oczyma ukazują mi się zamglony obraz. Jestem małą dziewczynką. Na ulicy zatrzymuję się zawsze pełna nadziei i wyczekiwania. Bo to za chwilę może wyjść z tłumy człowiek, przeważnie będzie nią bohaterka, w jakim sensie „bohaterka”, nad tym się nie zastanawiałam. Weźmie mnie za rękę i pójdziemy hen daleko za miasto. Tam będzie las i ptaki.

Albo wieczorem będziemy szli i słyszały nasze kroki, dzwoniące w ulicze. Między latarniami przechodzimy i przepatamy kroki. Jaki to będzie piękny ornament: światło i kroki. Widzę nawet twarz, szyję i ręce tej pani.

Kiedy wchodzę do bramy naszego domu, obraz się rozplywa. Śmieję się głośno z siebie i biegnę na czwarte piętro.

ESTERA N.

POŻAR

Było to w Falenicy. Zapadał zmierzch. Położyłem się do łóżka. Mamusia kręciła się po pokoju. Nagle powiedziała mi:

— Wyjdę na chwilę. Wezmę gorącą wodę z czajnika.

Uwierzyłem. Byłem wtedy mały. Nieobecność mamy przedłużyła się, więc zaniepokoiłem się i zawołałem mamę. Mama przysłała i powiedziała mi prawdę: naprzeciwko palił się dom.

Mamusia kazała mi wstać i narzucić coś na siebie, a sama zaczęła pakować pościel. Wstałem i popatrzyłem przez okno. Zobaczyłem kulę z ognia. Zdało mi się, że drzewa pod naszym oknem płoną, gdyż w nocy ogień wydaje się bliski.

Pobiegłem na drugą stronę domu, gdzie mieszkała moja ciocka, gdyż z tamtej werandy lepiej widać było pożar. Popłoch zmniejszył się dopiero wtedy, kiedy nasz sąsiad z dołu który akurat wracał z kole-
lei zawiadomił nas, że to nic poważnego i że nie jest tak blisko, jak nam się zdaje. Patrzyliśmy



Rozpoczynamy dzisiaj — po letniej przerwie — XVI-ty Turniej Rozrywkowy. Oparty on będzie na następujących zasadach: za rozwiązanie każdego z 24 zadań wyznaczona zostanie pewna, najczęściej z góry określona ilość punktów. Czytelnik, który nadesłane zadanie, zamieszczone następnie w dziale: „Rozrywek Umysłowych” podczas trwania turnieju, otrzyma taką ilość punktów, jaka zostanie wyznaczona za rozwiązanie tego zadania. Uczestnicy, którzy uzyskają największą kolejno ilość punktów, otrzymają 6 nagród, z których 3 przypadną zwycięzcom turnieju w wieku do lat 10-ciu włącznie, 3 zaś — od lat 11-u do 13-u włącznie. Rozwiązania należy nadsyłać do Redakcji „Małego Przeglądu” do czwartku do godz. 4-ej p.p. następnego tygodnia po ukazaniu się zadania, w kopertach z napisem: „XVI-ty Turniej Rozrywkowy”. Obok rozwiązania należy podać imię, nazwisko (które jest konieczne także w wypadku, gdy nadsyłający rozwiązanie posługuje się pseudonimem), wiek, oraz dokładny adres.

Celem uniknięcia nieporozumień w związku z rozwiązaniami spóźnionymi, przypominamy czytelnikom o konieczności nadsyłania rozwiązań we właściwym czasie i wrzucania ich do właściwej skrzynki, t. j. do skrzynki „Małego Przeglądu”. Jako ostateczny termin przyjęliśmy godz. 4-tą p. p. w najbliższy czwartek po ukazaniu się zadania.

Wszelkie rozwiązania nadesłane później, bezapelacyjnie zostaną odrzucone.

Nie odpowiadamy także za rozwiązanie, wrzucone do niewłaściwej skrzynki.

UWAGA! Jeśli ktoś otrzyma nagrodę w jakimś turnieju, to nie może jej otrzymać w dwóch

tylko na pożar drzew z zimna.

Na miejsce pożaru przybyły trzy auta straży ogniowej. Tłumiły były olbrzymie. U mleczarza, u którego się paliło, wyratowano wszystko, lecz w zamęcie złodzieje skradli niemal połowę.

Po pożarze powiedziałem do mamusi:

— Tej nocy pewnie mi się przysnił pożar, gdyż zawsze te rzeczy, którymi się przejmuję w ciągu dnia, śnią mi się w nocy.

Położyłem się spać, lecz nie przysnił mi się pożar.

Kiedy nazajutrz poszedłem na miejsce pożaru, oczom moim przedstawił się widok straszny: gruz, zgłiszcz, złamane balkony, oberwane przez strażaków, wreszcie kilka ścian z cegieł, które nie zostały spalone.

Niektórzy mówili, że sami widzieli, jak właściciel domu uciekł ze strychu przez okienko. Zachodzi więc przypuszczenie, że to on podpalił dom, chcąc pobrać sumę asekuracyjną i u nieszczęśliwiec mleczarza. Strażacy mówili, że to podpalenie.

W. RYLAJ.

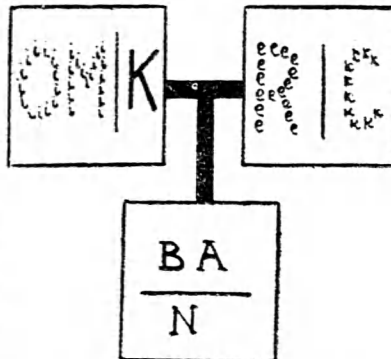
następnych, choćby otrzymał największą ilość punktów.

A teraz zaczynamy:

XVI-ty TURNIEJ ROZRYWKOWY „MAŁEGO PRZEGLĄDU”. ZADANIE TURNIEJOWE Nr. 1.

Za rozwiązanie 1 punkt.

REBUSIKI! OWOCOWE.



Z powyższych rysunków należy odczytać 3 nazwy owoców.

ZADANIE TURNIEJOWE Nr. 2.

Za rozwiązanie 2 punkty.

LAMIGŁÓWKA GWIAZDZISTA

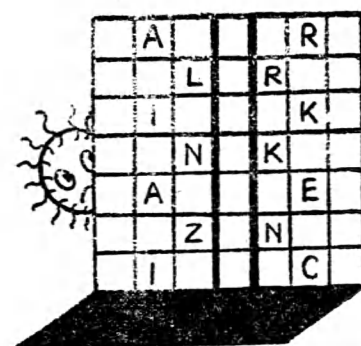


Cyfry, umieszczone w powyższej gwiazdzie należy poprzestawiać w ten sposób, by suma liczb na każdej z czterech przekątnych wynosiła 18.

ZADANIE TURNIEJOWE Nr. 3.

Za rozwiązanie 4 punkt.

UPEŁNIANKA GEOGRAFICZNA.



Poziome rzędy powyższej figury należy uzupełnić w ten sposób, by otrzymać 7 nazw miast. Litery umieszczone w rzędzie oznaczonym, czytane z góry na dół, dadzą rozwiązanie — także nazwę miasta.

ŻARTY

NA PEWNO.

— Czy aby na pewno dojadę szczęśliwie na dół? — pyta pasażer samolotu pilota.

— Na pewno, proszę pana. Dotychczas jeszcze ani jeden pasażer nie pozostał na górze!

PRETENSJA.

— Panie gospodarzu — skarży się lokator — sąsiedzi, którzy mieszkają obok mnie hałasowali całą noc. Do samego rana walili w ścianę. Nie mogłem przez nich pracować...

— Czy pan coś pisał?

— Nie, uczyłem się grać na trąbie.